Rok 1898. Lwów, dnia 6. czerwca. Nr. 22.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego“

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

ANTONI CZECHOW

TROSKA

(Przekład z rosyjskiego).

Nastał mrok. Wielkie, mokre płaty śniegu krążą powoli dokoła zapalonych latarni gazowych i kładą się w cienkiej, miękkiej warstwie na dachy, grzbiety koni, plecy i czapki ludzi.

Dorożkarz Jona Potapow jest cały biały, jak widmo. Siedzi na koźle tak zgięty i skurczony, jak to jest tylko możliwem dla żyjącego ciała, i nie porusza się wcale. I gdyby nawet spadła na niego cała góra śniegu, nawet i wtedy, jak się zdaje, nie uważałby za potrzebne strząsnąć z siebie śniegu...

Konik jego jest również biały i nieruchomy. Wskutek nieruchomej postawy, spiczastości swych kształtów i nóg prostych, podobnych do lasek, zwierzę podobne jest na pierwszy rzut oka do tych koników piernikowych, które można kupować w budach jarmarcznych po kopiejce za sztukę. Prawdopodobnie konik pogrążony jest w dumaniu. Kogo oderwało się od pługa, wyrwało z ponurego otoczenia, do którego przywykł, i ciśnięto tutaj, w to mnóstwo olbrzymich płomieni, w to morze hałasu i pędzących na oślep ludzi, ten nie może inaczej, ten musi dumać...

Jona i jego konik nie ruszają się już oddawna z miejsca. Obydwaj już przedpołudniem puścili się w drogę, na zarobek, dotychczas jednak nikt ich nie najął.

Teraz jednak mgła wieczorna pada na miasto.

Z następowaniem zmroku, blade światło latarni staje się coraz silniejszem, a hałas na ulicy osięga swoje *forte*.

— Dorożka, na Wyborgską stronę! — słyszy Jona. — Dorożka!

Jona wstrząsa się i widzi przez śniegiem pokryte rzęsy oficera w baszłyku.

— Na Wyborgską stronę! — powtarza oficer. — Śpisz, czy co? Na Wyborgską stronę!

Na znak zgody ściąga Jona lejce, wskutek którego to ruchu spadają kawały śniegu z grzbietu konia i z jego plec...

Oficer wsiada do sań. Dorożkarz cmoka ustami, wyciąga szyję jak łabędź, prostuje się i wywija, raczej z przyzwyczajenia jak z potrzeby, nahajką. Konik wyciąga również szyję, zgina do lasek podobne nogi i rusza niezdecydowanie naprzód.

— Gdzie się pchasz, djabelski synu?! — słyszy nagle Jona z ciemnej, naprzód i w tył poruszającej się masy. — Gdzie cię niesie? Trzymaj się na prawo!

— Nie umiesz jechać! Trzymaj się na prawo! — woła gniewnie oficer z sanek.

Wymyśla mu jakiś stangret powozowy. Jakiś jegomość, który chciał przejść przez ulicę i otarł się o pysk konia, spojrzał na niego złym wzrokiem i otrząsnął śnieg z rękawa.

Jona porusza się na koźle, jak gdyby siedział na szpilkach, rozsuwa oba łokcie i jak szaleniec, patrzy na wszystkie strony, tak, jak gdyby nie mógł zrozumieć, gdzie jest i dlaczego tu jest.

— Co za gałgany wszyscy ci ludzie są! — syczy przez zęby oficer, niby żartem. — Wszyscy uwzięli się na to, aby włazić ci w drogę, albo też dostać się pod twego konia. Wszyscy zmówili się na to...

Jona ogląda się na niego i porusza wargi... Chce widocznie coś powiedzieć, ale z gardła jego nie wychodzi nic, prócz ochrypłego mruczenia.

— Co? — pyta oficer.

Jona ściąga usta do uśmiechu, natęża gardło i mówi ochrypłym głosem:

— Mnie, mnie... *wasze błagorodje...* mnie syn umarł w tym tygodniu.

— Hm... A na co umarł?

Jona odwraca się zupełnie do swego gościa i mówi:

— Kto to może wiedzieć! Prawdopodobnie na febrę... Trzy dni leżał w szpitalu i umarł... Taka była wola boska!

— Na bok, djable! — słychać w ciemności. — Zwarjowałeś, stary psie?! Patrz na oba oczy!..

— Jedź, jedź prędzej — mówi gość. — W ten sposób nie dojedziemy do jutra... Poganiaj konia.

Jona wyciąga znowu szyję, prostuje się i wywija nahajką z ociężałym wdziękiem. Kilka razy ogląda się na swego gościa, ten jednak zamknął oczy i widocznie nie jest usposobiony do słuchania...

Oficer wysiadł na Wyborgskiej stronie, a Jona stanął przed restauracją. Siedzi skulony na koźle i nie porusza się...

Mokry śnieg zdobi jego plecy i grzbiet konia swą białością... Mija godzina, jedna, druga...

Trotoarem idzie trzech młodych ludzi, kłapiąc kaloszami i wymyślając sobie wzajemnie dwóch z nich jest wysokich i smukłych, trzeci mały i garbaty.

— Dorożka! Na most policji! — woła garbaty jakimś ochrypłym tenorem. — Jest nas trzech... dwadzieścia kopiejek.

Jona ściąga lejce i cmoka. Dwadzieścia kopiejek... to cena nie do przyjęcia, ale teraz... bierze się wszystko. Czy rubel, czy kopiejka, to mu wszystko jedno, aby tylko jeździli goście.

Młodzi ludzie przystępują, potrącając się i wymyślając sobie wzajemnie do sanek i chcą wszyscy odrazu zająć miejsca. Powstaje pytanie, którzy mają siedzieć, a który z nich ma stać. Po wielu wymyślaniach, pomrukach, zarzutach i wyrzutach postanowiono, że garbaty, jako najmniejszy ma stać.

— No, jazda! — zawołał garbaty ochrypłym głosem, stojąc w saniach i oblewając oddechem kark Jony. — Jazda! Ale co ty za czapkę masz, *bratuszka!* Haniebniejszej nie znajdziesz w całym Petersburgu...

— Ho, ho, ho – śmieje się Jona — jaka jest, taka jest.

— No ty, jaka jest, taka jest, popędzajno konia! Czy przez całą drogę chcesz tak jechać? Tak? Chcesz w kark?

— Głowa mnie boli — mówi jeden z długich. Wczoraj, ja i Wańka, wypiliśmy trzy butelki koniaku u Dumańskich.

— Nie rozumiem, do czego to kłamstwo ma doprowadzić! — mówi gniewnie drugi długi. — Chłop łże ak z nut!

— To taka prawda, jak to, że pchła kaszle...

— Ho, ho — śmieje się Jona — to weseli panowie!

— Tfy, *czort tiebie!* — woła oburzony garbaty. — Będziesz ty jechał porządnie, ty stary ośle, czy nie? To się nazywa „jazda“? Ściągnij no konia nahajką! No, stary djable no, wal, ostro!

Jona czuje poruszające się za jego plecyma ciało i słyszy jak głos garbatego drży... Słyszy wystosowane do niego wymyślania, widzi ludzi, a uczucie osamotnienia zaczyna powol ustępować od niego... i

Garbaty wymyśla tak długo, aż gniew jego dosięga szczytu i zaczyna kaszlać. Siedzący zaczynają coś mówić o jakiejś Natalji Piotrównie. Jona ogląda się na nich. Ponieważ w rozmowie nastąpiła krótka przerwa, obejrzał się jeszcze raz i szepnął:

— W tym tygodniu umarł mi, mój... mój syn.

— Wszyscy musimy umrzeć — powiada garbaty z westchnieniem i ociera sobie po odkaszlnięciu usta. — No, jazda, jazda! Panowie, tak w istocie dalej jechać nie mogę! Kiedyż przyjedziemy na miejsce?

— Podpędź go trochę... Daj mu raz w kark!

— Śpisz, stary idjoto? Zacznę cię obrabiać kułakami! Jakby się człowiek z takiem bydłem delikatnie obchodził, toby musiał chodzić piechotą. Słyszysz stary durniu? A może ty sobie z naszego gadania nic nie robisz?

I Jona — więcej słyszy uderzenie w kark, niż je czuje.

— Ho, ho — śmieje się — to weseli panowie... Niech im Bóg da zdrowie!

Wymyślają mu, walą po karku, nie zważając na jego wiek, na jego ambicję, on jednak cieszy się. To wszystko odwraca jego uwagę od troski, która się gnieździ w jego duszy i trapi go. Jeden ból zmniejsza zawsze drugi. Jeżeli się nastąpi na ogon kotowi, którego bolą zęby, to w tej chwili sprawi mu to ulgę.

— Dryndziarz, żonaty jesteś? — pyta jeden z wysokich.

— Ja?. Ho, ho... To weseli panowie! Teraz pozostała mi tylko... matka niema... ho, ho, ho... To znaczy grób... Mój syn mi umarł... ja jednak żyję... to szczególna rzecz, że śmierć pomyliła się w adresie... Zamiast przyjść do mnie, poszła do mego syna.

I Jona zwraca się do młodych ludzi, aby im odpowiedzieć, jak mu syn umierał, w tej chwili jednak odetchnął garbaty i oświadczył, że nareszcie przybyli na miejsce, dzięki Bogu...

Otrzymawszy dwadzieścia kopiejek, spoglądał Jona długo za hulakami, którzy zniknęli w ciemnej bramie domu. Znowu jest sam i znowu zaczyna się dla niego zupełna cisza.

Troska, uciszona chwilę, występuje i grozi, że ze spotęgowaną siłą rozsadzi mu piersi... Oczy Jony przelatują niespokojnie i z boleścią po tłumach ludzi, sunących po obu stronach ulicy: czyż między tymi tysiącami nie znajdzie się ani jeden, któryby go chciał wysłuchać? Niema przecież nic piękniejszego, jak słuchać wylewu serca człowieka... Tłumy ludzi suną jednak dalej i nie zważają ani na niego, ani na jego troskę... A troska jego jest olbrzymią, przechedzi wszelkie granice... Gdyby pierś Jony pękła i wypłynęła z niej ta troska, to zalałaby pewnie cały świat — a mimo to nikt jej teraz nie widzi... Troska otuliła się właśnie taką niepozorną zasloną, że nawet we dnie przy świecy nie możnaby jej się doszukać. Jona spostrzega stróża kamienicznego i postanawia rozpocząć z nim rozmowę.

— Mój kochany, która to może być godzina? — pyta.

— Dziesiąta... Czego tu stoisz? Jedź dalej, jazda!

Jona ujechał z dziesięć kroków, stanął, zgiął się i oddał swej trosce. Zwracać się teraz do ludzi, uważa za rzecz bezcelową... Lecz mija zaledwie pięć minut, a on się prostuje, wstrząsa tak głową, jak gdyby odczuwał silny ból, i ściąga lejce... To przechodzi jego siły.

— Do domu — mruczy — do domu!

I konik jego, jakby odgadł jego myśli, zaczyna biedz kłusem... W półtorej godziny potem siedzi Jona przy wielkim brudnym piecu... Na przypiecku, na podłodze, na ławkach śpią ludzie... Powietrze jest duszne i zużyte... Jona patrzy na śpiących, skrobie się za uszami i żałuje, że wrócił tak wcześnie.

— Nie zapracowałem nawet pieniędzy na owies — myśli. — Dlatego też porywa mnie troska Człowiek, który swoje zadanie dobrze spełnia, który sam jest syty, i którego koń jest syty, jest zawsze spokojny.

W jednym rogu pokoju podnosi młody dorożkarz, przeciera zaspane oczy i wlecze się do kubła z wodą.

— Chcesz pić? — pyta Jona.

— Jak widzisz, chcę pić!

— Tak... niech ci będzie na zdrowie... Mnie jednak, *bratuszka*, syn umarł... Czy już słyszałeś? W tym tygodniu w szpitalu... To także historja!

Jona uważa, jaki efekt wywołają jego słowa, nie może jednak nic rozpoznać... Młody dorożkarz przykrył głowę i śpi już... Stary wzdycha i skrobie się za uszami... Tak jak chłopaka pędziło coś do picia, tak jego pędzi do gadania. Niezadługo będzie tydzień, jak mu syn umarł, a on jeszcze z nikim o tem porządnie nie rozmawiał... O tem trzeba mówić z rozumem, ze spokojem... Trzeba opowiedzieć, jak syn zachorował, jak cierpiał, co mówił przed śmiercią, jak umarł...

Trzeba opisać pogrzeb i jazdę do szpitala po ubranie zmarłego. Na wsi mieszka osierociała jego córeczka Anusia... I o niej trzeba opowiadać... Tak, czyż on teraz mało ma do opowiadania? Słuchacz musi jęczeć, wzdychać, powtarzać niektóre słowa... Z babami jeszcze najlepiej rozmawiać... Chociaż są głupie, to jednak wyją z żałości już przy drugiem słowie.

— Muszę przecież zajrzeć do konia — myśli Jona. — Na spanie jeszcze dosyć czasu... Już ja się wyśpię.

Ubiera się i idzie do stajni, gdzie stoi jego koń. Myśli o sianie, owsie, o pogodzie. O synu, gdy jest sam, wcale myśleć nie może. Rozmawiać o nim z kimś, to inna rzecz, ale myśleć o nim samemu, mieć jego obraz przed oczyma — to przechodzi jego siły.

— Żujesz? — pyta Jona konia, spostrzegłszy jego błyszczące oczy. No, żuj, żuj... Jak nie zarobimy na owies, będziemy jedli siano... Tak, już jestem za stary do jazdy... Mój syn miał jeździć, nie ja... To był prawdziwy dorożkarz. Powinien był żyć.

Jona milczy przez pewien czas i zaczyna znowu mówić:

— Tak jest, kochana szkapko... Kuźmy Jonicza już nie ma... Umarł z niczego... Weźmy przykład: gdybyś miała źrebię i byłabyś rodzoną matką tego źrebięcia... I oto nagle... to źrebię zdycha... To byłoby ci przecież przykro?

Konik żuje, słucha i oddechem dotyka rąk właściciela. Jona zapala się i opowiada konikowi wszytko, wszystko...

WŁ. M. KOZŁOWSKI

PRZEZNACZENIE FILOZOFII I POWOŁANIE FILOZOFÓW.

Dokończenie.

Religja w wiekach średnich była całą mądrością; zastępowała ona filozofję dla osobnika, więc i w życiu społeczeństw musiała spełnić jej funkcję. To też każdy wielki przewrot w zakresie życia społecznego i politycznego poprzedzały reformy religijne lub przynajmniej spotęgowanie uczucia religijnego.

Tak wojny krzyżowe, ruch husycko-taborycki i rozbudzenie patrjotyzmu czeskiego, wyzwolenie Szwajcarji, wojny chłopskie i dążności demokratyczne „trzewika“, wreszcie pierwsza rewolucja angielska zostają w najściślejszym związku z ruchami i reformami religijnemi.

Dopiero w czasach nowożytnych filozofja zaczyna współdziałać z religją, lub ją zastępować w roli przewodnika na polu życia dziejowego. Już w wojnach chłopskich, a zwłaszcza w rewolucji angielskiej, współubiegają się wpływy humanizmu w pierwszych, filozofji angielskiej XVII. stulecia w drugiej z reformą protestancką lub purytanizmem, a wyłączną władzę nad ruchem społecznym osiąga filozofja w wielkiej rewolucji francuskiej, która odbywa się z hasłami wszechwładzy rozumu, pod natchnieniem filozofji oświaty.

Od tej pory filozofja nie wypuści zapewne z rąk swoich berła.

Niepraktyczność umysłu greckiego, więcej skłonnego do lubowania się w pięknych kombinacjach myśli, niż do czynu, chętniej zagłębiającego się w kontemplacji, niż dążącego do potęgi i panowania czy to nad przyrodą, czy nad ludźmi, owa „nieudolność życiowa“, jakby ją nazwał Płoszowski, objawiającą się w niskiej technice przy wysokiej wiedzy i kulturze, w tem, że żadne z państewek greckich nie urosło do wielkości, którą by można było bez uśmiechu zaznaczyć na mapie i do mocy, która by mogła oprzeć się napływowi mniej kulturalnych Macedończyków lub Rzymian, nieudolność ta nie jest cechą plemion, dziś przodujących w cywilizacji europejskiej. A jakkolwiek dyletantyzm dekadentów dzisiejszych usiłuje zrobić z filozofji zabawkę próżniactwa swego na wzór sofistów i innych dekadentów starożytności, nie zniży się już Królowa Nauk do tej haniebnej roli.

Wielkie podniesienie nastroju spekulacyjnego w pierwszej połowie bieżącego stulecia nie zostało bez wpływu na wyrobienie idei demokratyczno-społecznych naszego czasu; ale idee te nie przybrały jeszcze kształtu ostatecznego. I potrzebny jeszcze jeden wzlot zanim zdołają one ujrzeć życie:

A gdy dojrzeje cel stuleci —
Ostatni wzlot, co w ducha toni
Młodzieńczych pragnień ogień wznieci,
Oblicze Prawdy nam odsłoni

(*Schiller*)

— prawdy przyszłego życia społecznego, oblicze nowej idei dziejowej.

Takie jest przeznaczenie filozofji; takie powołanie filozofów. Filozof nie powinien kochać mądrości tą platoniczną miłością, która zadawalnia się poznaniem, własną rozkoszą umysłową; filozofja nie powinna być dlań ucztą sybarytyzmu duchowego.

Powinien ją kochać tak, aby wydała owoce nauki; nie w siebie wchłaniać, lecz tworzyć jest jego zadaniem.

Filozof w dzisiejszem pojmowaniu — to publicysta w najszlachetniejszem znaczeniu tego wyrazu — a tu znowu zbliżamy się do myśli, której hołdowały największe duchy, przejęte miłością dla ludzi od Platona do St. Simona i Comte'a, myśli o filozofach, jako duchownych władcach społeczeństwa.

Idea ta, która w ręku sybarytów myśli, sceptyków i egoistów*) przybiera postać karykaturalną, odzyskuje swoją wielkość i siłę, skoro tylko przywrócimy filozofji jej poważne stanowisko, jako czynnika społecznego i dziejowego. A nie potrzebujemy, na wzór Comte'a, zakładać osobnej władzy duchowej, złożonej z mędrców i decydującej w sprawach myśli i przekonań, gdyż siłą myśli i przekonań filozofowie sami zdobywają owo stanowisko, zdobywają je niepostrzeżenie i prawie niechcący, przez to jedynie i wtedy jedynie, gdy głoszą p r a w d ę.

*) Renan np. traktuje artystów i t. p., jako ludzi, bawiących siebie i innych.

Zapewne bywają chwile, że namiętności zagłuszają głos myślicieli, bywają wypadki, że ludzie nieszczerzy i ambitni, nawet puści i próżni, opanowują trybunę. Ale, powiada jeden z najsympatyczniejszych filozofów naszej epoki*), „prawda, chociaż i późno, przychodzi jednak dość na czas; albowiem ludzkość jeszcze nie umiera. Szczęśliwe natury umieją uchwycić chwilę właściwą; ale myślący spostrzegacz nigdy nie ma prawa milczeć dlatego, że wie, iż, jak na teraz, tylko niewielu słuchać go będzie". A ucho tłumu wcześniej czy później odróżni rozbite brzęczenie fałszu od donośnego, dźwięczącego jak stal głosu tych, co zwiastują przyszłość.

Nie, nie dla swojej zabawy, ani dla zabawy innych piszą filozofowie!

Tylko oderwany od życia i nie pojmujący go filister może powiedzieć coś podobnego. Tylko ten, kto nie rozumie innej władzy prócz brutalnego rozkazywania przy pomocy siły fizycznej może zaprzeczyć panowania filozofów nad umysłami. Ale władza ta osiąga się tylko przez bezinteresowne oddanie się na służbę ludzkości i postępu, tylko przez poczucie powołania swego jako kapłana mądrości. I rząd ich powinien być czysto duchowy.

A im większą potęgę daje filozofom władza nad umysłami współczesnych, im więcej w poczuciu powołania swego dążą — świadomie lub nie — do tej władzy, tem silniej powinna przemawiać do nich odpowiedzialność, jaką przyjmują, tem staranniej zamykać powinni umysł na wszelkie podszepty egoizmu lub stronności, kastowości i ciasnoty, tem świętszym obowiązkiem ich jest wytężać wszystkie siły ducha, aby ujrzeć czyste, niczem nieskalane i promienne oblicze Prawdy.

*) Fr. Alb. Lange. „Historja filozofji materjalistycznej", t. II., str. 509.

Zadaniem literatury jest wychowanie narodu; a w tem wzniosłem jej przeznaczeniu pierwsze miejsce należy się filozofom i poetom.

Bo to, com tu powiedział o filozofach, stosuje się w znacznym stopniu i do poetów. Każdy prawdziwy, wielki poeta jest filozofem, który myśli symbolami zamiast pojęć, a pochwycić może przez intuicję i oddać bezpośrednio w żywych i barwnych obrazach konkretnych to, co myśliciel zdobywa drogą mozolnej analizy i oddaje w syntezie naukowej.

Piękno jest harmonią świata, pojętą w symbolu i mycie, tak jak prawda jest tą samą harmonją, wyrażoną w pojęciach, a prawdziwe dzieło sztuki jest ideą zobrazowaną, ucieleśnioną i natchnioną życiem.

Na tem polega wielkie dziejowe znaczenie poezji jako twórczyni ideałów.

I ta lepsza część literatury zostaje jako trwała zdobycz w skarbnicy cywilizacyjnej narodu; chwilowo zagłusza ją tartas i wrzawa dziennikarstwa; ale jednodniowe utwory jego szybko znikają razem z drobnemi celami, interesami, osóbkami, któremi się zajmują, a dzieła literackie coraz bardziej oddalają się od tego tła hałaśliwego; służą one celom przyszłym i ogólnym i dlatego są trwałe, dlatego powszechne.

ADAM KRAJEWSKI.

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Sale kasyna jaśniały w tydzień później znowu światłem rzęsistem, kiedy Albin, wracając z pewnego zebrania towarzyskiego, tym razem bez żony, znalazł się koło tego gmachu. W ulicy, na którą padało jasne światło z okien, nie było nikogo; woźniców tylko kilku, czekając z powozami na swych panów, gwarzyło koło bramy, zabijając tem długie godziny wyczekiwania. Kiedy doszedł do bramy, Albin przystanął, spojrzał mimowolnie w oświetlone okna i zawahał się, jak człowiek, któremu nagle coś na myśl przyjdzie. Chwilę trwało to wahanie. Na zegarze miejskim leniwo wybiła północ. Machinalnie rozpiął futro, wyjął z kieszeni swój zegarek, spojrzał nań i po chwili wstąpił wolno w bramę gmachu, ścigany ciekawemi spojrzeniami woźniców i lokaji, których zaintrygował ten przybysz na bal o tak spóźnionej porze i pieszo.

Oparłszy się o arkadę, podtrzymującą sklepienie sali, z której galerji płynęły na dół tony muzyki, przebiegał oczyma, niezauważany jeszcze przez nikogo, tańczące pary, zajęte sobą jedynie i wpatrzone w siebie. Patrzał na pozór obojętnie; poruszył się jednak niecierpliwie, gdy spostrzegł Malwinę, jak uśmiechnięta, wesoła, spierała się na ramieniu trzymającego ją w tańcu smukłego, przystojnego mężczyzny. Byłażby to zazdrość, ujawniająca się w tem przenikliwem spojrzeniu, jakie obrócił ku tańczącej parze? Po co on tu właściwie przyszedł; zkąd się w nim wzięła ciekawość zobaczenia, kto jest na tym balu, skoro nie korzystał z zaproszenia, jakie mu przysłano?

W Albinie zaszła w tygodniu wielka zmiana, jakiej sam po sobie się nie spodziewał, jakiej nie pragnął, tak jak nie pragnęła jej Nina, wywołując niebacznie z ukrycia dawno przygasłe uczucie męża do przelotnej miłostki pierwszych lat młodzieńczych. Uczucie to w połączeniu z przeświadczeniem, że kobieta ta nigdy już do niego należeć nie może, przeświadczenie, że odjęła mu nawet możność zemsty, dość zresztą niewinnej, przekonanie, że jeżeli nietylko sam zemścić się nie mógł, lecz sam jeszcze został upokorzony, odebrało mu spokój i równowagę duszy, i mimowiedny pociąg uczuł do tej, którą powinien był nienawidzieć raczej, a która przecież była tak piękną, tak ponętną, tyle uroczą w całej szatańskiej postaci, że zblednąć wobec niej musiała na poły naiwna Nina, pociągającą urokiem młodości i niewinności, ale nie mającą tego czaru, który mężczyźnie zmysły odejmuje i każe mu za-

pomnieć niekiedy o wszystkiem, nawet o najświętszych obowiązkach.

Albin był bardzo młody; nie miał jeszcze czasu ostrzelać się z tą całą siecią subtelnych arkanów salonowych, w których celują kobiety wyższego świata, a w których młodzież tej sfery wyrasta na sceptyków, wśród któregoto sceptycyzmu zatraca się z czasem uczucie serdeczne a pozostaje jedynie umiejętność gry na uczuciach, spływającej nieszkodliwie po sercach, jak woda po szkle. Nie wdawał się w chłodną analizę uczuć serdecznych, lecz szedł za popędem chwili; leciał jak ćma do światła, niebaczny czy się spali w tem płomieniu, który go ku sobie przyciągał. Niestety Nina, niedoświadczone dziecko, kapryśne w dodatku, zamiast zamknąć w sobie zazdrość i nie okazać jej przed mężem, wadę tę niebezpieczną nietylko nie ukrywała, lecz owszem okazywała ją mężowi jawnie i nie wiele było potrzeba, aby go zrazić do siebie. Przygasła po pierwszej scenie niechęć do nieznanej Malwiny, ujawniła się w niej w dni parę przy okazji zaproszenia na bal następny. Kiedy ją Albin zapytał, czyby nie poszła, choć czynił to już z pewną obawą wywołania mary poprzedniej, odparła z nietajoną niechęcią, że nie pójdzie, a Albin uprzedzony tem co zaszło, mógł w jej oczach wyczytać, że posądza go o chęć spotkania się znowu z Malwiną.

Nie poszli tedy. Tego samego wieczora wypadło pójść Albinowi na zebranie do jednego z kolegów. Nina nie miała nic przeciw temu, ażeby poszedł; w duchu pewną była przecież, że tam niebezpiecznej czarnookiej nie spotka i to ją zupełnie uspokajało. Inaczej jednak stać się miało.

Towarzystwo rozeszło się przed północą i Albin, kiedy znalazł się sam na ulicy, przebiegać począł w myśli ostatnie dni swego pożycia z Niną. Czuł to, że się coś między nim a Niną popsuło; czuł ten nieuzasadniony niczem chłód, jaki mu od dni kilku, od tego pierwszego balu okazywała i porównywał dni te do tej promiennej miłości pierwszych miesięcy. Przywoływał sobie na pamięć te nie zamącone niczem pieszczoty, z jakiemi go Nina codziennie, gdy wracał do domu, przyjmywała. Idąc tak wolnym krokiem, myślał o tem wszystkiem, i przykro mu się zrobiło, gdy sobie przedstawił, że dziś za powrotem nie dozna już tych samych rozkoszy. Uczuł chłodną pustkę dokoła siebie, której myśl o drogiej Ninie, którą w sobie pieścił, nie mogła jakoś dziś wypełnić.

Nikt mu tej zadumy nie przerywał. Na ulicy było cicho, daleki chyba turkot wozu, lub szybki krok spóźnionego przechodnia po zmarzniętym śniegu, przerwał niekiedy tę ciszę. Tak doszedł do gmachu kasyna, gdzieśmy go przed chwilą wchodzącego widzieli. Gdy podniósł oczy i ujrzał światło w oknach, przyszła mu na myśl Malwina, która w tej chwili z pewnością tam się znajduje, szczęśliwsza od niego, bo nieznająca tych trosk, jakie jego serce i umysł przygniatały w tej dobie. Malwina otoczona kołem wielbicieli, tryumfująca w duchu może z niego, używająca świata; a on?... On sam wśród nocy ciemnej, spieszący do domu, gdzie go nie czeka nic prócz czterech ścian, wśród których nie wyciągną się doń ramiona stęsknionej jego nieobecnością Niny, jak to niedawno jeszcze bywało. I czego on się ma właściwie spieszyć? — Po co i dla kogo?

Gdyby tak wstąpił na chwilę, na chwileczkę tylko? — zobaczyć ją choćby tylko zdaleka.. Czuł, żeby go to trochę uspokoiło, że miałby przynajmniej tę satysfakcję, iż nasyciłby się widokiem tej, dla której a raczej przez którą tyle w dniach ostatnich wycierpiał. Pokazałby tej szyderczej pannie, że i on z całym światem nie zerwał jeszcze, że wie i rozumie, czego ten świat od niego żąda. Wejdzie tylko tak od niechcenia, zabawi małą chwilkę i pójdzie. Tak, tylko małą chwilkę; a może nawet tak się złoży, że ona go nie zobaczy, nie będzie tedy sobie nic miał do wyrzucenia.

Z tą myślą znalazł się na sali i zająwszy miejsce na schodkach do sali prowadzących pod arkadą, stanął tam w kącie, gdzieśmy go zostawili.

Tymczasem przestano tańczyć i zahuczało gwarem na dole. Albin spozierał z góry na ten tłum różnobarwny, wśród którego gdzieniegdzie znajomą twarz spotykał. Bardzo był rad z tego, że nikt się nim nie zajmywał, że same nieznane mu osoby obok niego przechodziły. Ośmielony tem, postąpił o dwa schody niżej i znalazł się prawie na sali, przyglądając się przechadzającym się parom.

Zwrócony bokiem do drzwi wchodowych, nie spostrzegł, jak tuż przy nim stanęła Malwina, którą w tej chwili danser na miejsce odprowadzał, i dopiero gdy uczuł na ramieniu lekkie dotknięcie wachlarza, obrócił się i oczy jego spotkały się z mile uśmiechniętą twarzą Malwiny.

Pąs oblał mu policzki i zmięszał się niemało, nie spodziewał się bowiem zaczepki ze strony dumnej panny. Skłonił się w milczeniu, nie śmiąc podnieść oczu, ale mimo to skwapliwie pochwycił wyciągniętą ku sobie dłoń czarodziejki, którą mu na powitanie podała.

— Witam pana — powiedziała, oglądając się równocześnie, jakby kogo szukała. — Czy pan sam? — zapytała ze zdziwieniem, nie znalazłszy widocznie przedmiotu swych poszukiwań. — Pańska żona?... dodała.

— Tak pani... sam... zaszedłem przypadkiem... bąkał, nie wiedząc, jak właściwie wytłómaczyć tę samotność swą na balu. Miał minę żaka, złapanego w szkole przez profesora na gorącym uczynku.

— Pani zapewne niedysponowana? — ciągnęła dalej Malwina, sznurując przytem usteczka do jakiegoś nieokreślonego wyrazu, pod wpływem którego Albin zmięszał się jeszcze bardziej. Teraz doprawdy nie wiedział, co ma jej powiedzieć. Czy miał kłamać, że żona jest chorą. W takim razie dziwnem by to było, gdyby zostawiwszy chorą żonę w domu, sam poszedł na bal. Jakież wyobrażenie miałaby choćby i Malwina o jego czułości małżeńskiej?

Spostrzegłszy złośliwy uśmieszek na ustach Malwiny, który — ani wątpił, — był wypływem jego zakłopotania, Albin usiłował spokojnie wytłumaczyć Ninę, że czuje się jeszcze zmęczoną zeszłotygodniową zabawą.

Czy uwierzyła w to Malwina? — zdaje się że nie, bo złośliwy uśmiech nie znikał z kącika jej ust karminowych, a oczy figlarnie świdrowały Albina.

— Ja sam — dodał spiesznie — jedynie przypadkiem, z ciekawości, tu się znalazłem na chwilę i...

— I zamyślasz pan odejść zaraz? — nieprawdaż, — podchwyciła zręcznie Malwina. — Otoż nic z tego; na razie biorę pana w posiadanie — ciągnęła rezolutnie — siadaj pan tu koło mnie. Tańczyć nie będę, bom zmęczona.

I poczęła się chłodzić wachlarzem. Albinowi zaimponowała nadzwyczaj ta rezolutność, ta pewność siebie, z jaką czarnooka dziewczyna z nim sobie poczynała. Nie mógł się jedynie rychło zdecydować, co czynić.

— No! siadajże pan — z lekką niecierpliwością w głosie przydała — przecież nie jestem taka niebezpieczna, ażebyś się pan mnie bać potrzebował.

Albin pomyślał sobie coś wręcz przeciwnego. Była ona diab. niebezpieczną i bardzo. Czuł to doskonale teraz, gdy

znalazł się koło niej tak blisko. Czyż miał jednak uciekać od niej? — Usiadł więc nieśmiało, trwożliwie rzucając okiem dokoła, zdawało mu się bowiem, że oczy obecnych na sali wszystkie są na nich zwrócone.

Na szczęście tak mu się tylko zdawało. Nikt się nimi nie zajmował i zabawa wrzała w całej pełni. Mało miał tu znajomych i to przeważnie sobą zajętych; Malwina miała już ustaloną sławę bałamutki i prócz zdeklarowanych kilku wielbicieli, tych motylów salonowych, z kwiata na kwiat przelatujących, niebyło nikogo, ktoby mógł im przerwać rozmowę. Stara ciotka, znając i Malwinę i Albina z czasu dawniejszych jego do siostrzenicy konkurów, nie troszczyła się bynajmniej o to, o czem mówią.

— Proszę pana — zagadnęła Malwina, gdy usiadł Albin — powiadasz pan, że przypadek pana tu sprowadził. W to wierzę; ale to drugie. Ciekawość! Czy wolno spytać, na co pan ciekawy i na kogo?

Na dziwne to, bądź co bądź, pytanie, nie był Albin przygotowany. Oto poprostu wlazł w matnię, z której trudno było mu się wydobyć. Zadawał sobie w duchu pytanie, dlaczego tu przyszedł, i odpowiedź znalazł w oczach Malwiny, która była pewną tego, że dlatego tylko on tu się znajduje, ażeby ją widzieć. Choć był nieśmiały, ta właśnie nieśmiałość jego, ta jego lękliwość w obec niej, utwierdzała ją w przekonaniu, że ona na nim głębokie uczyniła wrażenie. Pochlebiało to jej dumie, jej kokieteryjnemu usposobieniu, że może usidlić człowieka, dla którego była dawniej wprawdzie obojętną, ale złą była zato, że znalazł szczęście z inną i że ta inna, jakby przeczuwając w niej rywalkę, odpychająco się względem niej zachowała na poprzednim balu.

Czekała na odpowiedź na swe zuchwałe zapytanie, ale Albin nie spieszył się wcale z tą odpowiedzią. Bał się już teraz tej kobiety, a równocześnie w duszy jego rodziło się jakieś nieokreślone bliżej uczucie. Nie była to miłość, ale pragnienie czegoś, coby mu wynagrodzić miało to niesłuszne i niezasłużone posądzenie, jakiego doznał od żony.

Był mężczyzną, młodym, gorącym, a Malwina była piękną, djabelsko piękną i co najważniejsza, była w postępowaniu z nim dzisiaj o wiele inną, niż za dawnych, nie tak bardzo zresztą dawnych czasów.

Ciąg dalszy nastąpi.

SIŁA SNÓW.

Gdy cichy mrok
Osnuje widma dzienne
I topię wzrok
W coraz czarniejszą noc,
Wnet czuję je,
Milczące, sturamienne,
Jak ciągną mnie
W swą niewidzialną moc.

Jak wszystko w toń
Ucieka gdzieś podemną...
Spycha je dłoń,
Co ma tak wiele sił,
Że tylko drżę
Przed władzą jej tajemną
I korzę się
I czoło chylę w pył.

Aż w końcu gdy
Zagubią się granice
I nie wiem czy
To góra jest czy dół,
W przestworach drga
Ogromne jakieś lice
Ten, kto je zna
Ten nieskończoność czuł.

Ja wiem, że tu
Nie mam się bać niczego,
Że mi tu tchu
Nie będzie nigdy brak;
Rozkoszy szał
Tu nie ma cierpień brzegu
A twardych skał
Nie plami krwawy znak.

O dzięki Ci
Za te cudowne chwile,
W nich jasno tkwi
Odpowiedź na mój byt.
Tą siłą snów
Ja przeżyć zdołam tyle,
Gdy w oczy znów
Zajrzy mi dzienny świt.

Stanisław Womela.

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

Mo uciekł czemprędzej do sieni i wsadził klucz w zamek z wewnątrz, aby zamknąć za sobą drzwi; wstrząsnął głową i rzekł prawie na pół nieświadomie:

— Ach, ach, biedna Krystyna! umarła? I ktoby to był mógł pomyśleć? Ani minister, ani jego żona...

— Nie łącz, łotrze, nazwiska mego ojca z twoją zbrodnią! — zawołał Jan i wsadził nogę między drzwi a próg.

Napół zapitą twarz Andersa rozjaśnił jakiś błysk. Stary ostrożnie przyciskał drzwi, tak że pozostała wązka szczelina. Światło gazowe padało równomiernie na bladą twarz z temi długiemi zmarszczkami, które kładły zdradziecki uśmiech dokoła jego ust, i z tymi białymi włosami za uszami, I wyraźnie choć półgłosem rzekł:

— Tak minister jak i jego żona wiedzieli o tem, ale chcieli, abym ja ją miał, żebyś ty jej nie dostał!

I z nieopisanie złośliwym grymasem pokazał Janowi język, zamykając szybko drzwi i przekręcając dwa razy kluczem.

Jan Bennechen cofnął się pod latarnię; przez jakiś czas stał jak wryty.

Chłopiec z latarnią biegł chodnikiem.

— Ach, przepraszam pana, może pan się oprze o mur, muszę gaz zakręcić.

Doktor poszedł dalej, a ziemia pod jego stopami jakby się paliła. Na wschodzie robiło się jasno, najpierw szaro, potem czerwieniej i czerwieniej, aż nareszcie słońce zeszło; uśmiechnięte, błyszczące słońce wiosenne — był to pierwszy maja — świeciło nad dachami i złociło wieże kościelne.

Szedł dalej i dalej; poszedł na Stare miasto, zawrócił i szedł z powrotem, ciągle patrząc w ziemię i powtarzając sobie ustawicznie jedną i tę samą myśl, jedną i tę samą wątpliwość.

Że matka o tem wiedzieć mogła, to aczkolwiek smutnem było, myśleć tak źle o matce — jednak przypuszczał pewną możliwość. Ponad wszelki wyraz bała się wszystkiego, co mogło wyglądać na skandal.

Ale ojciec, ten wielki, szlachetny człowiek; to niemożliwe! Nie mógł sobie tego nawet wyobrazić. Mo był pijany, a oprócz tego to djabeł wcielony; powiedział to tylko ze złościwości.

Ale co to mogło pomódz wszystko razem? Wątpliwość była jak paląca plama, która go piekła tak, że czuł, iż musi nabrać pewności. Gdy powziął postanowienie udania się natychmiast do rodziców i zapytania ich otwarcie, stał się spokojniejszym. Tymczasem przed upływem paru godzin nie można było myśleć o ich odwiedzeniu i doktor poszedł na mosty okrętowe, gdzie robota już wrzała.

Robotnicy i tragarze schodzili na dół do portu, uczniowie biegli do warsztatów z małymi dzbankami kawy i chlebem w papierze... Dziewczęta fabryczne wołały na siebie i szły razem śmiejąc się i opowiadając sobie historyjki ubiegłej nocy, podczas gdy zaspani policjanci chodzili ociężale i czekali na zluzowanie.

Był to szczególny odłam ludności, który się o tym czasie już poruszał — biedne, wynędzniałe postacie. Jakiś samotny, dobrze ubrany pan, który nocy nie spędził w domu, wracał blady i zawstydzony w jasnem słońcu porannem.

Tymczasem spano jeszcze na górze, w mieście, w eleganckich dzielnicach poza spuszczonemi zasłonami i zamkniętemi drzwiami. Był to wspaniały, majestatyczny sen, który orzeźwiał tych, którzy mieli czuwać nad państwem, miastem, ludem i jego skarbami; a chociaż jasnem było to słońce poranne, nie mogło jednak odkryć tajemnicy, dlaczego ci, którzy spali byli tymi, co czuwają, a ci, co czuwali, byli tymi, nad którymi czuwano ze strony tych, którzy spali. Ruch wzrastał.

Małe parowce gwizdały i pędziły; trochę dalej stał na kotwicy duży parowiec z zachodu i czekał, dopóki stróż nie zrobi mu miejsca. Przybyli rybacy, a ci, którzy już przyszli, kłócili się z handlarzami i z grubemi, staremi babami, mającemi przed sobą wielkie, płaskie kosze.

Jan Bennechen wszedł na most forteczny; przed nim znajdował się wielki, zielony angielski parowiec; kran parowy pracował, ludzie biegali tu i ówdzie. Beczki i beczułki stały wzdłuż bulwaru, a w jakąś szczególną piramidę ułożone leżały skrzynie z norweskiemi imionami i amerykańskiemi adresami na bokach.

Z grupy mężczyzn i kobiet z dziećmi wysunął się wysoki, chudy człowiek w barwnej koszuli i w paltocie.

— Dzień dobry, Janie, już tak wcześnie wstałeś? Nie poznajesz mnie?

Jan poznał go natychmiast; był to dawny kolega szkolny, którego nie widział przez lat kilkanaście.

— Gdzie byłeś tak długo? — zapytał.

— W Ameryce, mój chłopcze — odparł drugi szybko. — Jestem ajentem emigracyjnym, doskonały interes, ale piekielna robota. Teraz siedzę tutaj zababrany, widzisz. Na biletach mianowicie, które ci ludzie kupują, napisano: lekarz norweski na pokładzie; a teraz wymawia się, ten chłop, którego zaangażowałem. Ale — jesteś przecież doktorem Janie! *Come aleng!* Dobre warunki, posłuchaj tylko!

Ajent z błyskawiczną szybkością wyliczał wszystkie zalety; ale podczas gdy mówił, wydawała mu się jego własna idea tak wspaniałą, że rzekł w końcu:

— A zatem rzecz skończona; interes zawarty, ludzie, oto widzicie przed sobą nowego doktora!

Jan musiał się śmiać z swego przyjaciela; na początek nie powiedział ani tak, ani nie. Zresztą, była to rzecz — najrozsądniejsza, jaką mógł zrobić.

Było około siódmej; przyrzekł, że w ciągu dnia da mu swą decyzję i udał się potem do domu swego ojca.

Teraz i w eleganckich dzielnicach zaczęło panować życie. Sklepy zamiatano, myto okna. Kilku dzielnych obywateli na ulicy Karola Jana zatykało chorągwie na dachach; tego dnia oczekiwano bowiem przybycia króla.

— Kto tam? — zawołała pani Bennechen, gdy Jan zapukał do drzwi sypialni.

— To ja, Jan; muszę mówić z ojcem.

— Nie, Janie, teraz nie możesz wejść.

Jan jednak drzwi otworzył.

— Ależ Janie! — zawołała pani Bennechen urażona i cofnęła się za parawan. Była w negliżu; minister jednak leżał jeszcze w łóżku.

— Tak, wybaczcie, ale muszę z wami pomówić — serce mu tak waliło, że zaledwie mógł mówić — przychodzę zapytać cię, ojcze czy ty albo matka wiedzieliście coś o chorobie Andersa, gdy się żenił z Krystyną?

Po krótkiej chwili rzekł minister:

— Uważam twoje zachowanie za nieodpowiedne.

— Odpowiedz mi, odpowiedz! — wołał Jan.

Minister Bennechen podniósł się na łóżku i starał się spojrzeć na syna imponująco. Nie chciało mu się to jednak udać w nocnej koszuli i z włosami rozczochranemi na wszystkie strony. Gdyby był w całym blasku, możeby jeszcze wzrok jego wywarł swój skutek; gdy jednak siedział tak w łóżku, jak zwykły, nieogolony, stary pan, cały nadmierny respekt syna runął jak domek z kart i z oziębłością, która go samego przerażała, rzekł:

— Ojcze, ojcze, zawiodłem się na tobie!

Teraz jednak matka jego odzyskała przytomność umysłu.

— Mógłbyś też być grzecznym dla ojca, Janie! Posłuchaj mnie spokojnie przez chwilę. Wiesz sam najlepiej, że choroba, o której mówisz, jest tego rodzaju, iż przyzwoici ludzie nie mają odwagi wymienić jej nazwy...

Ciąg dalszy nastąpi.

Wiadomości artystyczne i literackie.

„Der dritte Tag" — pod tym tytułem ukazał się w Czerniowcach w osobnej odbitce przekład znanego naszym czytelnikom z „Dodatku Mickiewiczowskiego" wiersza Antoniego Jastrzębca-Popławskiego: „Dzień trzeci". Przekładu dokonał profesor uniwersytetu czerniowieckiego Dr. A. Nussbaum.

Na wystawie sztuk pięknych w Warszawie, zwraca powszechną uwagę świetnie wykonany przez znanego malarza Horowitza portret hr. Przezdzieckiego.

Sto lat ubiegło w tych dniach od śmierci głośnego poety angielskiego Tomasza Hood, autora słynnej „pieśni o koszuli" (The song of the shirt). Za utwór ten, który z niezwykłą siłą przedstawia niedolę wyrobnic igły, wystawiono autorowi pomnik w Londynie z napisem: „Wyśpiewał pieśń o koszuli".

„Małkę Schwarzenkopf" głośną sztukę G. Zapolskiej odegrano onegdaj w „Wodewilu" warszawskim po raz setny.

„Wiadomość o archiwach węgierskich i materjale ich do dziejów polskich w drugiej połowie XV. wieku". Pod tym tytułem ukazała się nakładem krakowskiej Akademji umiejętności treściwa praca Dra Fryderyka Papéego. Jestto nader cenny podręcznik dla historyków zajmujących się dawnemi stosunkami węgiersko-polskimi.

W teatrze nowym w Warszawie, wystawiono z wielkiem powodzeniem nową operetkę japońską Sidneya Jonesa p. t. „Gejsza".

Konkurs. Przed kilku dniami upłynął termin składania prac na konkurs o nagrodę z zapisu Adama Chojnackiego w Warszawie za dzieło popularne, mające na celu oświatę i uobyczajenie ludu. Temat wybrany przez wydział historyczno-filologiczny, brzmi: „Napisać albo jedną powieść, przedstawiającą w formie przystępnej dla ludu prostego etyczny ideał włościanina we wszystkich stosunkach życiowych, albo szereg pouczających opowiadań, ujawniających poszczególne rysy tego ideału".

Eugenjusz Guillaume świeżo wybrany akademik paryski w miejsce ks. d'Aumale, jeden z czterdziestu „nieśmiertelnych" jest nietylko wybitnym rzeźbiarzem ale i znakomitym pisarzem, mówcą i profesorem estetyki w „Collège de France. Z prac literackich Guillaume'a najważniejszą jest: „Etudes d'art antique et moderne". Nowy akademik bawił przed kilku laty w Krakowie, należał bowiem wraz z prof. Zumbuschem do sędziów zagranicznych na konkursie na pomnik Mickiewicza.

Zapowiedziany na maj b. r. cykl wagnerowski w Wiedniu został odroczony do sierpnia.

Teatr w Kopenhadze święci w b. r. jubileusz 150-letniego istnienia. Z tej okazji odbędzie się tam wystawa teatralna.